

Brnąc w kopnym śniegu, schodziłem leśną stokówką. Na zboczu góry był kiedyś świerkowy bór, ale przed laty zniszczyła go wichura. Pozostały tylko samotne drzewa, a pomiędzy nimi wyrosły brzoźki i inny leśny drobiazg. Tamta nagła śmierć lasu otworzyła szeroki widok na dolinę i przeciwległe pasmo.

Idąc tak i pasąc oczy zimową panoramą gór, nagle na zboczu powyżej mnie usłyszałem trzask łamanych gałęzi. Zatrzymałem się i spojrzałem na zarośla. Nic nie zauważyłem, a i trzask ucichł. Uspokojony, ruszyłem. Po chwili jednak ponownie usłyszałem ten sam odgłos. Wyraźnie coś szło lasem równoległe do mnie. Znowu stanąłem i znów zrobiło się cicho. „Pewnie jakiś jelen lub dzik lezie tamtędy” – pomyślałem i krzyknąłem w stronę zarośli:

– Hu! Ha! Wynocha!

Spodziewałam się usłyszeć odgłos uciekającego zwierzęcia, ale odpowiedziała mi cisza. „Pieprzy ci się na starość” – mruknąłem pod nosem i ruszyłem.

Niestety, słuch mnie nie mylił i po chwili znowu usłyszałem odgłosy przedzierania się przez za-rośla. Zrobiło się niemilo. Coś było w lesie i mnie śledziło, tylko co i po co.

Pierwsza myśl - zwierzę. A jeśli zwierzę, to przecież nie szło za mną po to, żeby zobaczyć, jak wyglądam na śniegu. Zwierzęta takich wrażeń nie potrzebują. Potrzebują natomiast papu, a o to zimą trudno. „Niedźwiedź!” – błysnęło mi pod czaszką i strach zmącił moje myślenie. Rzuciłem się do panicznej ucieczki, ale po kilku krokach potknąłem się i zaryłem twarzą w śnieg. Oczami wyobraźni widziałem już wielkie cielsko zwalające się na mnie. Nawet nie próbowałem wstać, zwinąłem się jak embrion i czekałem na atak. Nie nastąpił. Nie wiem jak długo leżałem, bo czas jakby się zatrzymał. W końcu wstałem, otrzepałem śnieg i rozejrzałem się. Wokoło była cisza.

Powoli wracałem do siebie i wtedy przyszła mi do głowy druga myśl - człowiek. Ktoś idzie za mną, tylko kto: zбочeniec, bandzior czy jajcarz chcący mnie nastraszyć? Na wszelki wypadek sprawdziłem, czy mam przy pasku mój ukochany kozik i włączyłem myślenie. Zbok? Nie. Po co miałby szukać wrażeń po górach, skoro w miejskim parku i łatwej o nie i przyjemniej. Bandyta? Też nie. Co mógłby mi zabrać? Termos z kawą i trochę drobnych? Został więc tylko kawalarz, który zobaczył mnie samego na tym pustkowiu i postanowił postraszyć. Zawsze uważałem, że po górach chodzą fajni ludzie i dlatego na myśl o takim idiocie wściekłem się.

– Bucu! – krzyknąłem w stronę lasu. – Wyjdź i pokaż się!

Odpowiedziała mi cisza. Machnąłem więc ręką i poszedłem dalej.

Gdzieś po półgodzinie, ze sto metrów przede mną na drogę wyskoczył wielki pies, a zaraz za nim z lasu wyszedł człowiek. Przypominający wilka pies rzucił się w moją stronę, ale odwołany przez pana, zawrócił i grzecznie został przy jego nodze. Człowiek tymczasem podszedł powoli do mnie.

– Witaj! – powiedział jakby mnie znał od zawsze. – Dokąd to bogi prowadzą w taką zimę?

– Schodzę do Wołkowa – odpowiedziałem, patrząc z niepokojem na psa, który na sztywnych nogach zaszedł mnie od tyłu.

– To masz jeszcze kawałek – powiedział. – A jego się nie bój, nie ruszy cię – dodał, grożąc psu palcem.

Mój rozmówca wyglądał dziwnie. Był bardzo niski, a bujna broda sięgała mu prawie do pasa. Ubrany był w wyswiechtany kozuch przepasany cienkim paskiem, a na głowie miał wyleniałą baranicę. Wyglądał jak skandynawski troll i nie budził zaufania. Wiało od niego czymś złym i najchętniej poszedłbym już dalej, ale nieznajomy nie pozwolił.

– To mówisz, że idziesz do Wołkowa? Nie byłem tam już ruski rok, bo to nie mój teren. Mieszkam daleko stąd.

– A gdzie? – zapytałem.

– Tam – wskazał na południe. – Za Lisią Górą. Byłeś tam kiedyś?

– Nie, bo to nie mój teren – odpowiedziałem, małpując mojego rozmówcę.

– To wpadnij do mnie kiedyś – zaproponował. – Tam jest dolina, którą płynie Deszna, a na jej końcu stoi stara chata. To moja. Gdyby mnie nie było, to klucz znajdziesz pod kamieniem przed progiem. Zapraszam.

Poczułem się uspokojony, więc powiedziałem:

– U góry ktoś łąził za mną po krzakach. To nie byłeś ty?

– Ja? Nie. Dopiero co zszedłem z przełęczy, a do góry dopiero idę – usłyszałem w odpowiedzi i zabrzmiało to szczerze.

Na tym pożegnaliśmy się i każdy ruszył w swoją stronę.

Pod koniec lata postanowiłem zajrzeć do tajemniczej doliny za Lisią Górą. Z map wynikało, że nie ma tam żadnych szlaków turystycznych, a do najbliższej osiągalnej autem wioszczyny są około trzy godziny marszu. Mimo to postanowiłem tam pójść.

Był słoneczny dzień, gdy wszedłem w rozległą pustać zalaną morzem traw. Wzdłuż Desznej wiodła dawno zapomniana droga, przy której z rzadka rosły zdziczałe drzewa owocowe, świadczące, że niegdyś mieszkali tu ludzie. Ludzie zagłądali tu i teraz, bo na ziemi widać było niewyraźne ślady opon. Droga pięła się łagodnie pod górę, stawała się coraz mniej widoczna, a starej chaty wciąż nie było widać. W końcu zobaczyłem ją ukrytą pomiędzy starymi gruszami i jabłoniami. Była drewniana i stareńka - typowa chyba sprzed chyba stu lat. Otaczał ją rozwalający się płot ze sztachet, przy którym rosły półsuchnięte

krzewy porzeczek i agrestu. Jej ściany z belek nosiły jeszcze resztki bielienia. Dwa małe okna i drzwi wyglądały solidnie, a te ostatnie zamknięte były na wielką kłódkę. Przed progiem leżał płaski kamień i pod nim bez trudu znalazłem klucz.

Zdjąłem kłódkę, przestąpiłem próg i znalazłem się w innym świecie. Wewnętrzne ściany i sufity wyłożono starannie płytami gipsowo-kartonowymi i pomalowano na biało, a na podłogach były płytki i panele. Prawa izba była kuchnią-jadalnią. Mieściła czteropalnikową kuchenkę na gaz z butli, zlewozmywak, kredens i stół z czterema krzesłami. Izba lewa była sypialnią z dużym łóżkiem, trzydrzwiową szafą, stolikiem i lustrem na ścianie. Całość wyglądała jak mieszkanie w bloku, a wiszące u sufitów lampy i telewizor na ścianie sypialni wskazywały, że był tam prąd elektryczny. Nie mogłem zajrzeć do części inwentarskiej, ale przypuszczam, że właśnie tam ukryta była cała maszyna zasilająca dom w prąd i wodę. Wnętrze chaty tak nie pasowało do jej wyglądu zewnętrznego, tak raziło swoją miejskością, że aż nie chciało się w nim przebywać. Zamknąłem więc drzwi, klucz schowałem pod kamień i usiadłszy na progu, chciałem pomyśleć, co zrobić z resztą dnia.

Nie udało mi się, bo w tej chwili podjechała wypasiona terenówka, a z niej wysiadł gospodarz. Był to ten sam człowiek sprzed pół roku, ale jakże odmieniony. Ubrany był w markowe ciuchy, nosił okulary w cienkiej oprawie, a brak czapki ukazał jego leninowską łysinę. Łysy, z długą brodą i w okularach przypominał Koszałka-Opalka, znanego z ilustracji do książki Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i o sierotce Marysi”. Nie był jednak dobrotliwym krasnoludkiem, bo zobaczywszy mnie, wyraźnie zdenerwowany warknął:

– Co pan tu robi? To teren prywatny.

– Cześć! Nie poznajesz mnie? Spotkaliśmy się zimą w górach nad Wołkowem. Zapraszałeś mnie – starałem się odświeżyć jego pamięć.

– Nad Wołkowem? – zdziwił się brodac. – Nie byłem tam już ruski rok. To nie mój teren. Nigdy pana nie widziałem, a już na pewno nie jesteśmy na ty.

Zatkało mnie i wydukałem tylko:

– No, to ja już sobie pójdę. Cześć!

– Tak będzie najlepiej. Żegnam – odpowiedział gospodarz i zajął się opróżnianiem bagażnika.

Dzień i tak miałem już zepsuty, więc postanowiłem wracać. Po drodze zastanawiałem się nad dziwnym zachowaniem zmotoryzowanego trolla. Czyżby naprawdę mnie nie poznał? A może poznał, ale z jakichś powodów moja wizyta mu nie pasowała. Mógłby jednak mnie jakoś po ludzku odprawić, a nie rżnąć głupa. A może to nie był on? Może jego brat bliźniak?

Moje rozmyślenia przerwał warkot silnika. Po chwili dogoniła mnie znana już terenówka, a brodaty kierowca zza kierownicy zawołał:

– Czekaj stary! Wskakuj! Wracamy do mnie.

Wtedy już drugi raz tego samego dnia mnie zatkalo. Brodacz tymczasem ciągnął dalej:

– Co? Udało mi się ciebie nabrać. Lubię tak czasem robić sobie jaja z ludzi i patrzeć na ich reakcje. Mam talent aktorski i nieźle mi to wychodzi. Nie?

Musiałem mieć jakąś durną minę, bo kierowca powiedział:

– No co tak patrzysz, jakbyś mnie pierwszy raz zobaczył. Wsiadaj!

Ogarnęła mnie wściekłość. Najchętniej wyciągnąłbym kurdupła z auta i rozkwaślił mu pysk o drzwi. Opanowałem się jednak i nagle obudził się mój talent aktorski.

– Nie. Nigdy pana nie widziałem, a już na pewno nie jesteśmy na ty – wyrecytowałem obojętnym tonem. – Żegnam – dodałem i ruszyłem przed siebie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 03.07.2021 10:34

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.